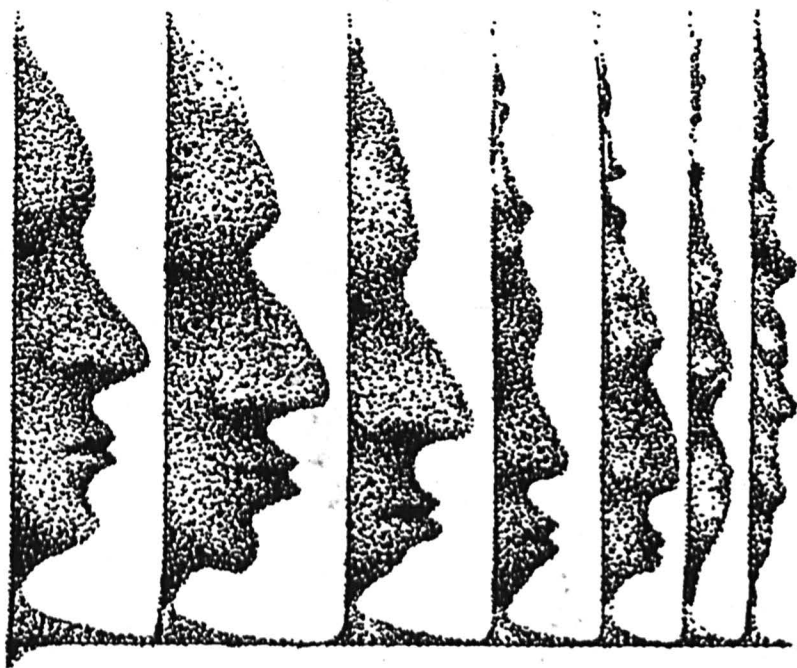


Weronika Iwaniuk
częstości



Weronika Iwaniuk

częstotliwości

Miejska Biblioteka Publiczna
Towarzystwo Miłośników Podlasia
Biała Podlaska 2013

BIBLIOTECZKA
PODLASKIEGO KWARTALNIKA KULTURALNEGO
(nr 15)

Wydawnictwo ukazało się dzięki pomocy
Prezydenta Miasta Białej Podlaskiej

ISBN 978-83-934114-5-0

REGIONALIA

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



XIII B
Jwe

135661

821.162.1-1

Wybór, redakcja i skład:
Grzegorz Michałowski

Projekt graficzny, ilustracje:
Arkadiusz Sawczuk

Druk: Pracownia Poligraficzna Miejskiej Biblioteki
Publicznej w Białej Podlaskiej, ul. Warszawska 12 A

Obfituje nasz region w „udanych” poetów. Nie przebrzmiały jeszcze zachwyty nad wierszami Joanny Sawickiej i Mirosława Chodynickiego, a już rozkoszujemy się kolejną porcją znakomitej podlaskiej poezji. Z utworami Weroniki Iwaniuk zetknąłem się po raz pierwszy w *Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym*. Ich dojrzałość, oryginalna konstrukcja *Wizerunków uczuć nierozpoznanych* - owych ośmiodniowych poszukiwań miłosnego porozumienia Jej i Jego, także „Trzech cnót boskich”, wzbudziły moje nieskrywane zainteresowanie. *Nie wszystko jeszcze/ zostało powiedziane/ albo wysłuchane*. Zdania te niechaj stanowią zapowiedź dalszego „przelewania” na papier jej myśli i uczuć.

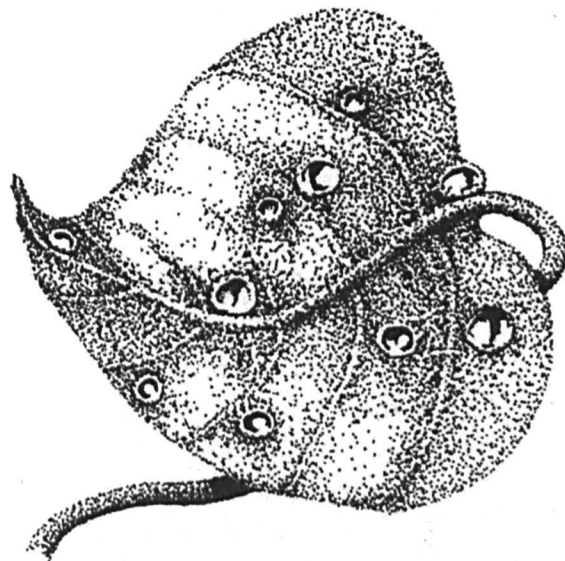
Częstotliwości odurzają, *częstotliwości* bołą, *częstotliwości* nie lukrują. Tomik Weroniki Iwaniuk nie pozostawia czytelnika obojętnym. Z całą pewnością rozbudza również pragnienie kontaktu z piękną poezją, czego nigdy dosyć. Majstersztyki poetyckie „Strych” oraz „Tatusiu” (*sam mi zęby daleś/ nie dziw się teraz/ że gryzę*) to utwory, które czytałem kilkanaście razy. Po każdym z czytań pojawiały się kolejne przemyślenia, wątpliwości. A może znowu coś przeoczyłem, czegoś nie doczytałem, nie zrozumiałem? I właśnie taka powinna być poezja - zmuszać do wysiłku, do emocji, także do cierpienia.

Weronika Iwaniuk ma szczególny talent obracania się w kręgu tematyki miłosnej. *Kolejna miłość znielawiona kłamstwem/ zakończyła karierę..., lzy nie pomogą zapomnieć/ siebie..., być albo nie być/ jak być to dla kogo..., zanim powiesz kocham/ położymy się spać/ poznamy się na sobie* - zdania proste, bez wymyślnych metafor, „postmodernistycznej niezrozumiałości”. Ale właśnie w tym ich siła! Po co zamęczać odbiorcę, skoro można za pomocą najzwyklejszych „skromnych” wyrażen przekazać swoje emocje w sposób zrozumiały? *Przez tyle lat szukałam swojego miejsca na ziemi/ nieśmiertelnego, ponadczasowego/ nieograniczonego w swej nieskończoności/ i znalazłam go... w poezji* - to słowa z wiersza „Strych”. Jestem przekonany, że czytelnicy znajdą w *częstotliwościach* jakąś cząstkę siebie, jakiś punkt zaczepienia, jakiś wers, jakieś zdanie.

Dominik Sobol

*kiedyś łapałeś
 moje łzy wytrwale
 suszyłeś szczerym oddaniem
 zuchwale ścierając
 smutek z twarzy (...)* (W. I.)

*po co myć twarz słoną wodą
 łzy nie pomogą
 zapomnieć siebie
 „być albo nie być”
 jeśli być to dla kogo (?)* (W. I.)



łez chwytanie

jak dobrze jest się odnaleźć
gdy w gąszczu jednoznacznych
gęstych krzewów
ty myślisz inaczej

przez ciasno splecione liany
umiesz przebić swą myśl
i dosięgnąć światła
oświecenia

raczej
przebudzenia które
na cienkim horyzoncie
skapanym w ideach oczywistości
wyrasta jak pierwszy przebiśnieg

i cieszy oczy
jak biały kruk krąży
nad siwą głową czasu
zaznacza swój lot
budząc w sercu przekonanie
że nie wszystko jeszcze
zostało powiedziane

albo wysłuchane

trwam w odrętwieniu
zaciskam zęby
żeby choć raz
w cierpieniu dorastania
wyobraźni
udało mi się
zatrzymać dziecko

bo każdy z nas
choć raz w życiu
wyprawia pogrzeb naiwności
umysłu
uśmiechu
niczym nie spowodowanego
zachwytu

tracimy wolność
prawo do szlachetnego
bycia czasem
ciszy
której echo odbija się
co noc o ściany
sypialnego pokoju

spokoju

wracam z podróży
trochę zmęczona
jednak szczęśliwa

bardzo tęskniłam

wiesz
opóźniłam powrót
nie miej mi za złe ale świat
jest tak piękny że postanowiłam
przyjrzeć mu się bliżej

nie sądziłem że tutaj jest tyle miejsca
z góry wygląda jak kropka nad i
jednak nieskończoność jego nie zna granic

naprawdę wracam pełna podziwu
dziękuję za bilet
i cierpliwość

pomimo jednak że tak trudno
jest mi się rozstać z tym życiem
przyjmij mnie do siebie

bo ty jesteś mym dobrem
ostatecznym przekonaniem
i wdzięcznym westchnieniem
Boże

trzy cnoty boskie

na początku był Chaos
potem Ogień
praojciec wszystkich żywiołów
stworzył Słowo.
niesforne dziecko poczęło mnożyć znaczenia,
aż splodziło Noc

w Nocy zawarło się wszystko pozostałe
i następne
była nieskończenie doskonałym tworem
wraz z Dniem wyłoniła Oczekiwanie
odchodziła i wracała o tej samej porze
by go spotkać.

rytuał jednak nie przynosił owoców
w czerni skupiła Spokój i Ciszę
potomstwo pełni Księżycyca

kusiła
aż nastąpił Dzień.
tajemnicze załamanie czasu nieba
punkt odniesienia do wszystkiego
co nastąpiło potem

narodziły się trzy siostry boskiego pochodzenia ...
Wiara Nadzieja Miłość

i kruszą nazwy prawd boleśnie
wciskając w gardła przesolone słowa
gdzie teatr gestów mówi nam
- za wcześniej

a tak naprawdę już czeka na brawa
kurtyna tępy wzrok zamyka
jak powieka opada
by ukryć cierpienie
również czeka

cisza
nikt nie odpowiada
kolejny spektakl uczuć

recenzja:
wróżono powodzenie
obsada zdolna chociaż mało znana
sztuka oklepana

na dole małym druczkiem jeszcze słów parę:
kolejna miłość zniesławiona kłamstwem
zakończyła karierę

nawiasem mówiąc
brawo!

Bóg dał mi skrzydła ale nie nauczył latać
nie zrozumie mnie ten który nigdy nie miał skrzydeł

kiedy niechętnie spoglądam w lustro
i widzę te półmartwe
a właściwie nieożywione części ciała
przeklinam całą ludzkość
która swą normalnością
wytoczonymi granicami myślami
nieelastycznie wmurowanymi w historię
betonowym półświatem zabija moją wolność

czy mam żal do Boga który w swej niełasce
podarował mi brzemię niezrozumienia (?) Nie(!)
bolą mnie najwyższe wartości
głośno ciskające słowami i śmiechem
kiedy opuszczają mnie ostatnie nadzieje
wiara w spełnienie

zatapiam skrzydła w wosku
pozbywam się siebie
może pokochasz mój cień

przecież lubisz cienie ...

był piękny wieczór
zapach maciejki roznosił się wokół
budząc pragnienie wchłonięcia jego całej
gęstej zawartości w powietrzu

zatapiał je w spokój
zawieszony na cienkiej pięciolinii
koncertu świerszczy

wieczór inny niż wszystkie
wieczór
który napisał wiersz

spada księżyc
jak jajko
na patelnię rozgrzaną
pragnieniem

zjadłam tylko akapit nocy

przecież
zjadłam tylko złudzenie

i stoję tak
 ciągle gdzieś poza
 rozglądam się wokół
 czy ktoś mnie rozpoznał
 czy zdziwił się ktoś
 wzruszył moim stanem
 czy ktoś poświęcił na to czekanie
 chociaż kąć swego oka

nikt nie spojrział
 tylko wiatr mocniej zawiał
 jakby chciał zaznaczyć swoją obecność
 przez co wszystkie drzewa ruszyły z nim
 i słońce zaszło za daleko
 schowało się może
 malując cieniem oczy

słońce to było czy czas naglił (?)
 nie wiem
 miało być inaczej

zapadam w sen zimowy
 układam leniwie stopy
 w miękkim półcieniu
 cudzych ramion

letarg linii papilarnych
 zastygłych w milczeniu
 już nie budzi podejrzeń
 nie garbi swych
 dostojnych ścieżek
 rowów wyżłobionych czasem

sen goi przeznaczenie
 ciężkim gestem opada niemoc
 w noc zimową
 ostatnią

topi w gwiazdach swój żal
 moje spełnienie

strych

przez tyle lat wierzyłam w niewiarygodne
 ufałam przepowiedniom drugiego świata
 drugiego życia

czekając na odkrycie prawdy szukałam dróg
 które prowadziłyby do krainy spokoju
 nadzieja budowała mosty
 mnożyła myśl

świat jest tylko małą kolebką
 ściśle określonych zasad
 które wytyczają umysłowe granice
 początek i koniec
 życie i śmierć

przez długi czas dręczył mnie niepokój
 bezsensowności tych portów ludzkiej egzystencji
 wiedziałam że Bóg w swej mądrości
 musiał stworzyć też furtkę
 która doprowadziłaby podróżne dusze do celu
 celu (?)

ktos powiedział że każdy człowiek jest
 małym światem
 zaczęłam więc szukać bramy w ludziach
 znalazłam furtkę ale klucz był o wiele dalej
 ludzie nauczyli mnie czuć
 funkcjonować emocjonalnie
 wreszcie kochać

wtedy zrozumiałam że klucz jest w nas
 we mnie w moim sercu i umyśle
 mój klucz
 mój strych
 kilka zakurzonych lat opowieści czasu

przez tyle lat szukałam swojego miejsca na ziemi
 nieśmiertelnego ponadczasowego
 nieograniczonego w swej nieskończoności

i znalazłam go
 w poezji



katastroficzna
 w swej niezmierzonej nieprzejętności
 wynosi na wyżyny
 połyka cząstki czasu
 jak wachlarz możliwości
 roztacza gamę zdarzeń
 przywraca wizje i obrazy
 które przez lata
 kolekcjonuje jak znaczki

z pasją szaleńca
 mądrością starca
 porzuca zmysły
 zaciera granice
 odkurza wspomnienia

pamięć

kiedyś łąpałeś moje łzy
 wytrwale
 suszyłeś szczerym oddaniem
 zuchwale
 ścierając smutek z twarzy

bywało że
 pod wpływem tych cichych przyrzeczeń
 wschodził nowy uśmiech

zbierałeś każdą kroplę
 czasem podnosząc ją z ziemi
 łączywie przelewając do coraz
 większych naczyń

i tak morze stało się słone

była tak ulotna nietrwąła i prosta
świt zwilżył trawę rosą
zmywając w ten sposób
ciężar minionej nocy

otulił mgłą drzewa
obudził ptaki
rozśpiewał
zachwyił swą nieodgadnioną tajemnicą narodzin
pachniała jak bukiet leśnych roślin
zmysłowo
i świeżo wyjątkowo
taka codzienna a jednak inna
moja chwila

pomarańczowa smuga nad głową
to słońce (?)

jakoś nieswojo rani oczy
ciało rozgrzane do czerwoności
boli też inaczej

wiatr sypie piasek w oczy
który nie tak dawno
tulił mile stopy
i ciągle pod górę
prowadzą nogi do celu

jak wielu wkroczyłam w dorosłość
drogą wieloznaczeń

zostań jeszcze chwilę
niebo ci uchylę
z kakofonii dźwięków
wybiorę najczystsze
żebyś mógł usłyszeć
jak szczerze ci nucę

przejrzysty spokój
zdejmij płaszcz i usiądź
kupiłam ci fotel
zatrzymam też czas
abyś odtąd nigdzie
nie musiał się spieszyć
i przykryję kocem
twoje zimne stopy

tam z zaułka wspomnień
który pod twym skrzydłem
odmienił mi oczy

pamiętasz (?)

*Grzegorzowi M. za wspianą
pracę i subtelne możliwości*

po co budzić nowy dzień
jeśli nie różni się od poprzedniego

po co wstawać
wiedząc że nigdzie nie dojdziemy
pytać siebie dlaczego (?)
nie znając odpowiedzi

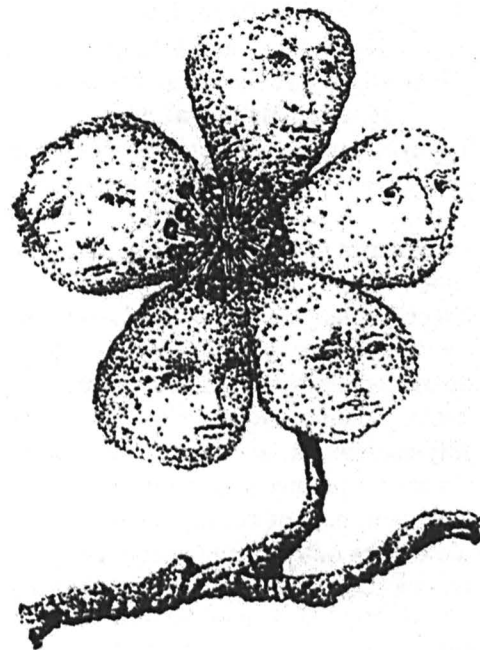
jak znaleźć sens w czymś
co go nie ma
a może jest tylko nie chce być z tobą

po co myć twarz słoną wodą
lzy nie pomogą zapomnieć
siebie

„być albo nie być”
jeśli być to dla kogo (?)

więcej czasu poświęcam
dopieszczając swój wizerunek
niż uczuciom nierozpoznanym.
jedyne co mi wiadomo to to
że jest ich chyba wiele (W.1.)

Całe pole widzenia to biel. Czy to śnieg?
Czy zapomniały o mnie kolory?
Czy to dzień? Czy noc się wygłupia
wychodząc z ciemności jak duch? (W.1.)



uCzuć wizerunki

Ona. Dzień Pierwszy.

XXI wiek a świat raczkuje emocjonalnie.

Stawia pierwsze kroki
podpierając się łokciem

w poszukiwaniu swojego miejsca.

Ja jestem daleko za nim.

Płaszczę się przed lustrem jak niemowlę
zachwycone odbiciem nieznanym.

Wykrzywiam buzię
malując usta pigmentem i rzęsy niewiele
znaczących rozmiarów szczotką.

Więcej czasu poświęcam dopieszczając
swoją wizerunek

niż uczuciom nierozpoznanym.

Jedyne co mi wiadomo to to, że jest ich chyba wiele.

Spotykam się z nimi co rano, kiedy umysł
jeszcze w półśnie

mami mnie tęsknotą za czymś,
co daleko odbiega od rzeczywistości.

- Jesteś. Jesteś. Jesteś ...

- Jestem?

Kim jestem, gdy imię me werbalizuje jedynie chęć
jego usłyszenia.

- Jesteś!

Czy to ja nazwałam myśli?
Czy usłyszałam coś wreszcie?

- Jesteś moja Faol!

On. Dzień Pierwszy.

Wołam i wołam, nasłuchując z nadzieją,
że usłyszę coś

poza echem złudnych pytań
zadawanych przez siebie w dodatku.

Wiem, że tam jest.

Gdzieś się chowa przede mną jeszcze.

Wystawia na próbę mój obiecany trud.

Ciekawe jak wygląda?

Czy ma silne usta, którymi nie będzie się bała mówić?

Mam dosyć kobiet dławiących się śmiechem
bez uzasadnienia

i szczebioczących coś pod nosem małymi literami.

Ona jest inna, jestem o tym przekonany.

Sen mi to opowiedział,

a przecież nigdy się jeszcze nie pomylił.

Zaczekam.

Ona. Dzień drugi.

Okrutny poranek.
 Po rozebranej nocy lustro, szafa i kawa z mlekiem.
 Muszę ją jakoś ubrać wreszcie,
 żeby się budzić z większą ochotą i planem
 bardziej złożonym.
 Napędu potrzebuję, bodźca, krzty rozpoznania
 bezbłędnego, jak się uda.
 Ktoś do mnie mówił dzisiaj. Znał moje imię.
 Chciał się zbliżyć
 ale bałam się przyznać, że go słyszę.
 Bo co bym zrobiła gdyby mi się spodobał?
 Gdyby potrafił się zmieścić w tym sterylnie
 zakonserwowanym sercu i umyśle.
 Pójdę z tym na spacer. Przechodzę tę dziką tęsknotę.
 Może jakiś pomysł urodzę przy okazji,
 dowiem się co z tym zrobić do cholery.

On. Dzień drugi.

Czuł ją każdy mój mięsień po sam zawrót głowy.
 Czy to nie obłąd?
 Nawet jeśli, nie potrafię go przerwać.
 Ciekawe czy lubi samotność,
 czy umie się nią dzielić.
 Czy słyszy zaproszenie i czy je rozumie.
 Czy przyjmie, no i kiedy?

Jestem Savoir i już trochę żyję.
 Byłem poetą, maklerem giełdowym, nauczycielem ...
 Byłem w Japonii, Korei Południowej ...
 Byłem z masą kobiet...
 Ale dopiero teraz czuję,
 że moja droga przestaje boleć.
 Już się nie zgubię.
 Pójdę do niej i zapytam o wszystko.

Ona. Dzień trzeci.

Spacer był do bani.

Wiało i padało, a potem sen przyszedł z trudem.
Ale przyszedł i mnie zaskoczył.

To straszne ale nie chciałam się obudzić.

Czekałam z ostrożnością i uwagą,
których ciężko mi się pozbyć od dawna.

Czekałam na ten głos ciekawa
czy mnie znów zaprosi do rozmowy.

I zabrzmiał
równie pięknie jak ostatniej nocy.

Jakbym go znała od zawsze.

Zwariowałam!

Skąd On się wziął? Jak mnie tutaj znalazł?

Ukryłam się wieki temu zacierając ślady przecieź.

Próbując rozmnożyć siły, jak mi się teraz wydaje,
na jego przybycie.

A może powrót?

Uciekłam jednak jak ostatni dzikus, albo idiotka.
Tak, idiotyzm wszystko tłumaczy.

Chciał mnie zobaczyć,

a ja schowałam się za drzewem,
które wyrosło chyba tylko na potrzebę schowania się.

Co się tutaj dzieje?

Boże, boję się nawet pomyśleć.

On. Dzień trzeci.

Widziałem kawałek jej koszuli nocnej.

Była biała jak jej skóra.

Uciekła, broniąc się i zasłaniając drzewem.

Że też musiało tam rosnąć akurat.

Nie podszedłem bliżej.

Nie chciałem jej wystraszyć.

Podoba mi się, że jest taka nieuchwytna
i nieoswojona.

To dobrze wróży i dużo znaczy.
Ma charakter, a o to trudno w dzisiejszych czasach.

Wszyscy gdzieś pędzą, spieszą się,
dążąc do chwilowych uniesień, których się później
nawet nie pamięta.

Chciałbym dotknąć jej środka i poruszyć przyszłość
w tym właśnie kierunku.

Ona. Dzień czwarty.

Nie było go. Na pewno pomyślał, że jestem obłąkana.
Albo, że nie przypadł mi do gustu,
bo uciekłam przecież.
Nie wiem co gorsze. I co ja teraz zrobię?

Ta cisza mnie zabije,
jeśli sama jej wcześniej nie pomogę.
O czym ja wczoraj myślałam robiąc z siebie wariatkę?

To jakiś koszmar.

Nawet nie próbuję analizować tego zachowania,
bo żadna konstruktywna uwaga nie przyjdzie
mi do głowy.

Muszę się pozbierać i zacząć działać jak kobieta,
a nie tchórz.

Zajął tyle miejsca we mnie, a nawet go nie znam.
Nie rozumiem tego i to najbardziej mnie intryguje.
Ubiore się dziś ładnie i zasnę z nadzieją, że wróci,
że mnie znajdzie i że mu się spodobam.

On. Dzień czwarty.

Nie odezwę się dziś do niej i nie przyjdę.
To zawsze działa.

Ona. Dzień Piąty.

Nie mogę ryczeć. Przecież nie jestem słaba.

Tyle walczyłam
o niezależność, samodzielność
i ten trudny do zdefiniowania postęp
wewnętrznej równowagi.

I co?

Wszystko jak w łeb strzelił na nic.
Nie umiem się nigdzie podziąć, ani odnaleźć.

Wszystkie myśli zajęte przez niego.

To jakiś potwór albo magik,
bo nie łatwo mnie do siebie przekonać.
Nie przyszedł. Może robi to specjalnie?
Może chce mnie podejść w tak banalny sposób?

I co z tego?

W czym mi pomoże poznanie powodu, czy strategii?
Nie przyszedł
i czuję się jakby niebo spadło mi na głowę,
a tak lubiłam na nie patrzeć ...

On. Dzień piąty.

To trudne ale nie mogę do niej pójść.
Powinna sama znaleźć do mnie drogę.

Ona. Dzień szósty.

Głuchy bezużyteczny sen i paranoja zaraz po nim.
Zwlokłam się z łóżka jak za karę.
Tyle próżnych godzin przede mną,
bo cały ten czas to tylko oczekiwanie przecież.

Muszę się pozbierać w sobie
i znaleźć drogę, którą przyszedł do mnie.
To nie może być trudne.

Za oknem biel.

Zima rysuje swą obecność, dotyka
zimnym palcem i nie mam nic przeciw temu.

Lubię każdą porę roku,
a ta ma w sobie tyle niewinnej skuteczności.
Hipnotyzuje obumarłym światłem
jak dopalająca się świeca,
której ciepło zaczynam sobie jedynie wyobrażać.

Obserwuję przez szybę jej porządek.
Zasypałam się nią cała po rąbek koca.
Savoir, zaśnij ze mną.

On. Dzień szósty.

Uroda Fao nie należy do wzorcowych.
 Nie ma nóg po samą szyję ani pełnych ust.
 Jest w niej coś młodego,
 tak uroczo niedojrzałego z pewną dozą sprzeczności,
 że nie mieści się w żadnej definicji ...
 Oszukała czas.

Podoba mi się jej ostry nos i kościste ramiona.
 Wygląda jak rzeźba, która pasowałaby wszędzie,
 do każdego stylu.
 Mieści w sobie taką przestrzeń
 nie zawłaszczając jej w ogóle.
 Jakby ją stworzył jakiś egzotyczny bóg ...
 Tak ją sobie wyobrażam.

Ona. Dzień siódmy.

Widziałam go, odnalazłam.
 Siedział zamyślony w głębokim fotelu.
 Sprawiał wrażenie jakby się w nim gubił,
 a może to w myślach tonął?

Wpatrywałam się w jego spokojną twarz,
 unieruchomioną i władczą. Poczułam się zazdrosna.
 Ja po dzień dzisiejszy nie wiedziałam czego chcę.

A on siedział
 z takim budzącym zachwytem
 wewnętrznym pojednaniem.
 Sam w ogromnym pokoju
 i wypełniał go sobą niczym zapach.
 Pięknie pachnie.

Tak pięknie,
 że pozostałam w ukryciu do samego rana
 w obawie, że zabrudzę tę nieskazitelną woń ciszy.
 Tam się kończyła stara droga
 i rozpoczynało poznanie.
 Wrócę jutro, i może się odważyć ...

On. Dzień siódmy.

Jest taka jak myślałam.
 Fao! Nie czekajmy na więcej.

Ona. Dzień ósmy.

Zgubiłam się dziś w lesie.
 Byłam pewna, że pamiętam drogę.
 Minęłam moje dęby i krzyż na drodze,
 a potem usłyszałam jego wołanie.
 A może to tylko stare drzewa
 opowiadały swoje stare historie?
 Skąd mam to wiedzieć?
 Przestraszyłam się.

Właściwie nie jestem pewna czy bałam się tego,
 że nie wrócę do domu, czy bardziej tego,
 że go dziś nie zobaczę.

Trudno mi jest wytłumaczyć swoje zachowanie
 zarówno na jawie jak i we śnie.
 Chyba przestałam już odróżniać jedno od drugiego.
 I jakie to ma znaczenie?
 Przecież trafiłam wreszcie do łóżka i dalej czuję się
 wstrętne ...

On. Dzień ósmy.

Była tak blisko.
 Już szedłem otworzyć jej drzwi kiedy spostrzegłem,
 że znów gubi się za drzewem.
 Jak tylko wstanie dzień wytnę je wszystkie.
 Usunę każdą przeszkodę, co staje nam na drodze.
 Czy sen jest jedynym możliwym spotkaniem?
 Nie sądzę.
 Jestem pewien, że istnieje sposób
 wyjścia poza senne marzenie.
 Chcę ją objąć.
 Chcę jej oddać swój czas i fotel.

Ona. Dzień dziewiąty.

Całe pole widzenia to biel.
 Czy to śnieg? Czy zapomniały o mnie kolory?
 Czy to dzień? Czy noc się wygłupia
 wychodząc z ciemności jak duch?

Dlaczego się nie boję?
 To takie nie moje: te spacery do rana, to wołanie,
 szukanie, wychodzenie z siebie.
 Żebym chociaż wiedziała w jakim celu to robię
 i czy warto.

Od tygodnia błędę w jego zaświecie
 licząc na spotkanie.
 Co jeśli wreszcie dotrę?
 Co mu powiem?
 Kiedy o tym myślę słowa tracą wartość.
 Dawniej silne i wielkie, dzisiaj białe jak cała reszta
 co znaczyłoby, że ich nie ma wcale.
 Jeśli nie słowem to czym go przywitam?

On. Dzień dziewiąty.

Zamordowałem kilkadziesiąt dębów
 i brzozę przed wejściem na ganek.
 Płakałem jak dziecko.

Była moim największym schronieniem.
 Huśtała mnie, rozmawialiśmy jak oddani przyjaciele.

Matka mnie nauczyła szacunku do niej.
 Posadził ją dziadek. To była pamiątka po nim.
 Nie odkupię tego grzechu
 przez kilka następnych wcieleń.
 Nie zmyję tej krwi nikczemnym żalem.
 Jeśli teraz nie przyjdzie, jeśli zawróci...

Ona. Dzień dziesiąty.

Zegar w przedpokoju zasnął.
 Budzik w sypialni również przestał okrażać godziny.
 Zaparzyłam różaną herbatę w imbryku.
 Obserwuję dym, który niczym Alladyn czaruje pokój.

I ja wraz z nim lewituję dotykając ścian
 i nieobecnego czasu.

Nie ma go, a jednak czuję to co było i to co będzie.
 Palcem zaznaczam krawędzie,
 rysuję ramy naszego wspólnego: jestem.
 Czy jeszcze na mnie czeka?
 Czy się nie znudził moją obawą?
 Czy powinienam to sprawdzić? Chyba muszę.
 Wybór przecież dawno odszedł.
 Rozczeszę włosy.

Założę suknię, która kiedyś wpadała w odcień fioletu.
 Ten fiolet drażnił się z granatem
 i jakby nie mogąc zdecydować, który jest piękniejszy,
 poszli na kompromis tworząc własną barwę.

Czy rozpozna ten kolor?
 Czy go polubi?
 Czy zgubi biel?
 Czy mnie uwolni z jej objąć?

On. Dzień dziesiąty.

Daję jej ostatnią szansę.

Ona. Dzień jedenasty.

Jednak jest zima. Teraz to widzę.
 Śnieg się przede mną rozłożył jak dywan
 odciskając ślady stóp, żebym trafiła z powrotem.
 Kiedy spoglądam w górę wygląda
 jakby niebo strzępiło chmury
 dla mojej wzrokowej przyjemności.

Idę.

Jakiś ptak gwizdże coś pod dziobem.
 Nie odleciał gdzie ciepło i przytulnie.

Gdyby natura
 pozbawiła nas takich oto odchyień od normy
 nie moglibyśmy podziwiać życia przez kilka
 obrosłych tłuszczem zimowych miesięcy.
 Ptak dzielnie śpiewał przez całą drogę
 dodając mi otuchy. Jestem mu za to wdzięczna.
 Lecz gdzie się podziały drzewa?
 Nagle wyrósł przede mną znajomy budynek.

Znacznie większy niżbym mogła sobie przypomnieć
 z poprzednich wizyt. Mrugał do mnie jednym okiem,
 podświetlonym oknem.
 Czy już mnie zobaczył?
 Czy zdążę się odwrócić i przepaść?

- zostań Fao!

Nagle otworzyły się przede mną drzwi.
 Zapraszały do poznania świętych miejsc.
 Wabił szept, który wypowiadał moje imię.
 Więc istnieję. Jestem tutaj naprawdę i On tutaj jest.
 Niech wszystko przepadnie poza tym domem
 i jego właścicielem.

Niech znikną wszystkie kryjówki.
 Niech mnie wreszcie przestaną kusić
 możliwością odwrotu.
 Niech mnie złapie za rękaw i nie puści.

- zostań Fao!

Ten głos zdaje się być torturą i łaską jednocześnie.
 Wysyła strumień dźwięków
 wprost do małych serc uszu.

Jestem pewna, że każdy zmysł człowieka
 sterowany jest odrębnym sercem,
 które choć nie posiada formy materialnej
 po cichu śle sygnały by je zauważyć i docenić.

Savoir to wie.
 Umiejętnie porusza strunami, przez co zmusza mnie
 do takich odkryć.
 Subtelne serce schowane w uchu
 przekazuje informacje dalej.
 W mgnieniu oka
 pragnie się z nim spotkać każdy zmysł.

Wybuch rewolucja.
 Szukają go oczy. Szuka go mój nos.

Co począć?
 Dlaczego ucichła moja tortura?

- Zostań Fao!

Jest piękny. Stoi w progu na wyciągnięcie ręki.
 W luźnym ciemnym swetrze, w dżinsach
 i zamszowych kapciach.
 Wygląda jakby nie dbał o sprawy,
 które opanowały współczesność.
 Wygląda jakby to on panował nad nią.

- Wejdiesz?

Znalazłam się wewnątrz.
 W idealnie odmierzonego środka pokoju stał fotel.
 Posiadał kolor.
 To spostrzeżenie sprawiło, że na niego opadłam
 nie czekając na pozwolenie. Savoir patrzył na mnie.
 Patrzył głębiej niż na zewnętrzną powłokę.
 Moje ciało to czuło i reagowało migotaniem.
 Wreszcie i ja spojrzalam. Gdyby nie kolejne zdanie,
 którym mnie obudził pewnie bym zemdlała.

Savoir miał oczy czarne jak węgiel.
 Jego czarne tęczówki gubiły źrenice.
 To odkrycie obudziło lęk.

- Gdzie jesteś kiedy Cię nie ma? – zapytał.

Nie mogłam dłużej milczeć.

- Zamyśliłam się tylko.

- O czym myślisz Fao?

- Myślę, że właśnie odbierasz mi to,
co najbardziej kocham – moją Samotność.
A może chcesz ją tylko na chwilę pożyczyć?

Zmarszczone czoło Es. przyniosło ukojenie.
Fałdka zarysowana nad brwiami
wyraźnie obrazowała zmartwienie.

- Lubisz brzozy?

- Pytasz mnie o drzewa?

- Jako formę życia uważam je za doskonałe.
Są mądre i potrafią słuchać.

Myślisz, że mógłbym zrobić z podwórka cmentarz
dla jednej rozmowy? Dla tej jednej chwili?

Ona.

Zapadłam w półwieczny sen.
Był to sen piękny i spokojny.

Pośród alei brzóz rosły co roku stokrotki.
Wszystko trwało niezależnie i beztrosko.

Czasami dochodzę do wniosku, że trwa nadal.

On.

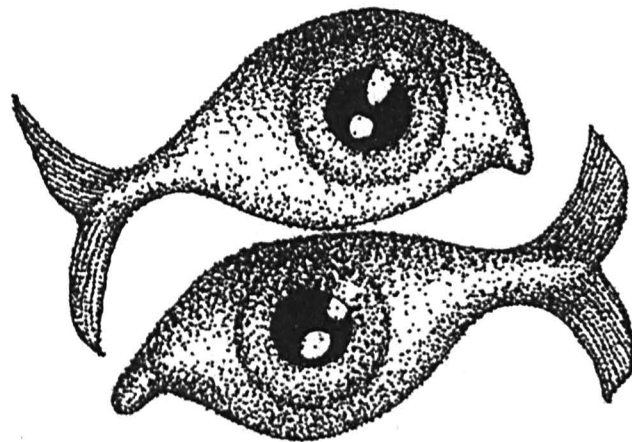
Gdyby moje dorosłe drzewa i staruszek dom
potrafiły mówić...

Gdybym potrafił odczytać ich pamięć,
którą z każdą minutą wspólnego istnienia z Fao
zapisywaliśmy pod ich skórą,
odnalazłbym ją po raz kolejny.

Coś mi podpowiada, że to kiedyś nastąpi.

*dzień mruży powieki
 budzą się ulice
 (...)
 dzień się dzisiaj nie popisał
 zgasł jak wypalony umysł
 jak zapalka stracił głowę (...)* (W. I.)

*kobieta gdy traci przytomność
 nie lubi się tłumaczyć
 wtedy nie musi (...)
 ledwo ocierając się o jawę
 milczy że kocha* (W.I.)



po**W**iek milczenie

porzucam cienie praojców
nie tworzę żadnej historii

nie jestem ani początkiem ani końcem
nie jestem ogniwem twych wspomnień
nie jestem już larwą
motylem być przestałam
tylko przez krótką chwilę

byłam blizną na twojej wardze
widoczną jedynie wtedy
gdy ją rozchyłałeś złośliwie
modląc się do innej

skrzydła przestały być praktyczne

teraz jestem widzem
patrzę jak szukasz mych dłoni
słucham jak tęsknisz słowem w listach
jak pięknie gubisz ciało w pościeli
czekam

czekam aż znowu dorośniesz
do mych ramion

tatusiu

facet bez twarzy ojcem nazywany
wysła list pełen skarg
niezadowolaniem określając
stan rzeczy nabytych przeze mnie
podczas ostatniego pobytu na Ziemi

garść piachu sypanego w oczy
stworzonym na jego podobieństwo
smak oporu którego przełknąć
nie mogę do tej pory
dzban wody w ustach
i ten wiersz nikczemny
podobno

podniosę głowę wysoko
niech zobaczy jak pluję
słowem
może pokaże wreszcie
jaki twardy z niego
orzech do zgryzienia

sam mi zęby dałeś
nie dziw się teraz
że gryzę

dokąd iść dalej mam
 gdy wiatr zaciera wszelkie ślady
 uniemożliwiając tym samym powrót
 a szare drzewa lojalni wartownicy
 mej nieskończonej podróży
 modlą się bym nie odwracała wzroku
 gdzie przepaść wieków zdaje się
 dawno pogrzebała wszystkie drogowskazy
 siedzę na peronie
 z moją czarną przyjaciółką

siedzę sortując myśli według własnych reguł
 gasząc pragnienie jej zapachem
 któż tak jak ona
 potrafi postawić mnie na nogi
 kto taki
 zna lepiej służalczość natury
 wbrew której żyłam do tej pory
 zamknięta

dzban świeżo ściętych Narcyzów
 wydziela woń
 a nad nimi głodne kobiety
 wystrojone w cierpliwość
 wierzą że zakwitną choć na sezon

kwiaty są tak samo trwałe
 jak uwaga mężczyzny
 nie zniechęca to pań
 stoją
 pochylone nad wazonem
 zostawiając czerwień palonych ust
 na białych płatkach
 dotykając czasu
 który za chwilę nastąpi
 bo taka jego natura
 by być tak samo przeszłym
 jak i przyszłym
 zawsze obok blizn

zobacz jak pięknie twoje tulipany
 wdzięczą się na parapecie
 fioletowe choć tyle pamiętałeś
 patrzę na ich krótkie życie
 bo tym są dla mnie kwiaty
 dajesz mi śmierć i za to cię lubię
 tak dobrze mnie znasz kochany
 co rano odchodzisz na zawsze
 skazując na wieczność
 mój niekończący się lament
 potem wracasz z tymi swoimi
 gnijącymi symbolami
 których nie potrafię wyrzucić
 wracasz by odejść raz jeszcze
 to piękne

moje zmysły wyczulone na twój zapach
 odnajdują cię w pustce i ciszy
 tam gdzie już nic być nie powinno
 ciebie jest najwięcej
 masz swój czas i swoje miejsce
 na tym całkiem już zimnym
 marmurowym parapecie

kobieto o cyjanowych oczach
 która każdego ranka kradniesz
 rosę sprzed mojego lustra wody
 kobieto w rozpuszczonych
 kruczych włosach w których gniazda
 wiją moje ptaki
 kobieto szpiegu
 to ja twój cień
 przegryzam linię życia
 pozwalam ci odejść

nie poddawaj się modlitwom
 mówił

wierz w nie po cichu
 słów nie da się cofnąć
 tylko cisza je zmieści

nie poddawaj się moim prośbom
 znasz mnie tak długo
 wiesz przecież jak łatwo
 ulegam modlitwom

usłałeś mi drogę różami
 idę po niej boso
 płatki niczym czerwone sandały
 o numer za małe
 męczą stopy
 idę tak niewygodnie
 przed siebie z podniesioną głową
 mijam szczekanie psa
 i pośpiech słońca
 czas przestał się liczyć
 idę więc wsłuchana w rytm zegara
 jak w muzykę przed snem
 idę w stronę domu
 którego jeszcze nie znalazłam
 tam gdzie mapa się kończy
 i twój głos milknie
 idę zerwać kolejny bukiet słów
 którym cię przeproszę

witam cię pocałunkiem złożonym na dłoni
 filiżanką kawy i ukłonem
 podaję ciastko
 pytam o zdrowie
 i ciszę którą wybrałaś na kochankę

 opowiadasz o niej
 z budzącym niepokój ożywieniem
 kładziesz pukiel kędziorów
 na mojej marynarce zostawiając zapach
 czuję cię całą
 jak obrana pomarańcza rozeszłaś się
 po całym pokoju
 podważając jego skończoność
 jesteś wszędzie gdzie spojrzę
 już się nie pozbędę twych milczących powiek
 ani ciepłych słów zawieszonych
 na czubku języka

to tylko kolejna podróż
 kilka zamarynowanych uśmiechów
 dla potomków
 kilka wbitych źrenic
 w punkt jutra
 w punkt wczoraj
 bez zachowania kolejności
 nie szukających powodu
 nie przeczytana korespondencja
 od bogów
 bo choć staram się znaleźć czas na odpowiedź
 wciąż coś stoi na przeszkodzie
 by po prostu usiąść
 (Heraklita czytam z przyjemnością)
 budda pogania mnie
 z częstotliwością trudną do zniesienia
 wypomina i poucza
 że cykl się jeszcze nie skończył
 i że jestem leniwa
 nie do końca się z tym zgadzam
 chyba zapomina ile czasu może zająć
 naprawianie błędów stwórcy
 leczę przecież z wyrzutów sumienia
 jaskółki które po porzuceniu gniazda
 jak pacjent z piętnem amnezji

wybiórczym śladem półotwartych skrzydeł
 przypominają sobie fragmenty
 matczynej depresji
 pilnuję ich małych
 by nie zapomniały kim są
 i co leży w ich naturze
 pomagam modliszkom
 trawić swych kochanków
 modliszki prowadzą ciągłe walkę
 miłości z instynktem
 najtrudniej jest mi jednak pogodzić kury
 i ich rozgdakaną zazdrość
 dzielą się jednym mężczyzną
 przez co cierpią na zaniżoną wartość
 tym bardziej że podsłuchały rozmowę
 na temat: co było pierwsze(?)
 kura czy jajko(?)
 a kogut(?) kogut walczy z narzuconą poligamią

 i skubie pióra jak skazaniec
 przygotowujący grunt na przymusową orgię
 tym niech się zajmie mahomet
 i piszą do mnie
 a ja nie odpowiadam
 może wyślę im kartkę z podróży
 (opowiem jak lubię gościa z Efezu)

hubrystycznie

przechodziłam dziś obok tamtych miejsc
 patrzyłam na załamana roślinność
 która w pokorze oddawała swą zielen
 za błękitem hipoalergicznym spojrzeń
 zrzucała liście jak starą suknię
 pomyślałam: świat zemdłał
 nasz świat opadł bezczelnie na posadzkę
 którą nazywają ziemią
 i leży tam jak znudzone zwierzę

 jeszcze wczoraj rosły góry w naszych głowach
 a morze rozlewało banały
 po równo
 do kieliszków
 próbując nas upić
 na pół
 na dwoje
 wznosiło toast za zdrowie i przyszłość

 a przyszłość też zemdłała
 na rogu warszawskiej
 obok czerwonego kiosku
 znalazłam jej różaniec

 jednak wierzę
 że strzałem w policzek
 wysadzę słońca na swoje miejsce
 a wiatr-suma oddechów
 oczyści powietrze
 tak jak kiedyś obiecał

bez tytułu

mam wierzyć że jestem wynikiem
 spisku boga z mężczyzną(?)

 że grając w kości
 przegrali jedną z nich
 i nie wiedząc co z nią dalej zrobić
 pojawili mnie dla wspólnego użytku (?)
 zastanów się

 powielam co miesiąc cykl księżycy
 krwawię razem z nim
 gdy jest pełny
 pilnujemy gwiazd jak dobre przyjaciółki
 rozprasząc je czasem spojrzeniem

 nie wolno ich strącać życzeniem
 to własność sekretarza sił wyższych
 który liczy każdy upadek
 nadając mu przyszłe przeznaczenie

 nie ma w tym przypadku
 więc
 pozostaw mi współpracę z niebem
 i się nie wtrącaj (...)

sekretarz bywa łaskawy
 użyć mi swych piór
 bym mogła do Ciebie pisać
 (jednak)

retrospekcje

wspięłam się najwyżej jak mogłam
wzięłam kilka desek i fotel
zbudowałam własny dom
na drzewie

ma dobre korzenie
solidny fundament
to ważne
czuję się bezpiecznie

mój dom rodzi owoce
mój dom przyjmuje gości
najchętniej w nocy
odwiedza mnie Wiatr

tęsknota współdziału
ma lęk wysokości
więc jeśli przychodzi z wizytą
kończy się na herbacie

nie muszę dbać o porządek
nie wietrzę pomieszczeń
nie dbam o rachunki
nie mam skrzynki na listy

wspięłam się najwyżej jak mogłam
więc sufitem niebo wyścielone liśćmi
pory roku sąsiadem
a baterią słońce

mój dom tylko wyobraża
smak
zapach
i dotyk
więc zawsze jest doskonały
na zawołanie
odpowiedni
i prosty

nareszcie prosty

częstokliwości

serce nie sługa
 mówią
 a takie poddane
 otwiera się

przyjmuje
 całuje podzielone dni
 i podzielone minuty
 nie dzieli tylko gości
 gość pozostaje cały
 i jak na gościa przystało
 zostawia jakąś pamiątkę
 na podzielone zawsze

rozuśmiech

zabawne że wybieramy te same
 miejsca oczy
 jak na parę przystało

spacerują po tych samych miastach
 /drogach/niebach bezkonfliktowo podziwiają ratusz
 karmią gołębie na rynku współmizdrzą się
 do katedry

bywa tak słodko na tych wycieczkach
 że czasami ... jedyne na co mam ochotę to
 zrobić zeza.

a gdyby tak ...

wysłuchać winylowych spojrzeń
 i zatańczyć wreszcie
 nie liczyć kroków idąc przed siebie
 a o snach zapomnieć
 Cicho(!)
 słyszę je kiedy gniewnie
 przepływają przez pajęcze ścieżki
 wzburzając cały fiolet
 poruszając ciałem
 bulgoczą jadem pragnień
 które wciąż czekają
 gotują się
 do wyjścia gdy są prawie moje
 one ciągle tańczą rozkosznie czerwone
 zawsze w szpilkach
 wiem
 bo nie mogę zgiąć łokci
 gdyby tak...
 ach
 gdyby tak je przeciąć
 i podlać nimi paprotkę

zbierasz moje
 łzy
 myśli
 uczynki
 patrzysz jak bóg
 z góry
 licząc na potknięcie
 w dzień
 w nocy
 i w samo południe
 kiedy przynoszę drugą kawę
 abyś nie musiał przerywać swych zajęć
 zaparzoną w niewłaściwej filiżance

bo przecież powinnam pamiętać
 że lubisz tę z niebieskim szlaczkiem
 karą za pamiętanie niedokładne
 czas przed rozgrzeszeniem
 przed snem stan uśpienia
 który nie pozwala widzieć
 jak mnie znowu zbierasz
 w uśmiech

ostatnia wieczerza
zebranie świętych racji
brzmia zaprzeczenia
wibrują dźwięki
krzyk aniołów
z zaprzędanymi skrzydłami
podpowiada by odejść

ona z kieliszkiem w dłoni
i uśmiechem gasnącym
on z piórem w ręku
ten uśmiech podnosi
skarży się
drapie pod kolanem

miał tyle do powiedzenia
kiedy się spotkali
i tyle racji miał w tym
że jej nie miał

mój drogi to nasze drogi

nie przejmuję się mdłym spojrzeniem na ulicy
czy zbyt głośno wykrzyczanym zdaniem
mam za nic
nieudaną próbę zachwiania równowagi
i gniew sąsiadki bo pies szczekał za długo

co z tego że pada deszcz
a mieliśmy jechać nad jezioro
że zrobiłam winną plamę na dywanie
który dostaliśmy od twojej matki
sto potknięć pod niewinnym tytułem:
niechący

sto powodów by się zaśmiać
i sto drgnięć serdecznego palca
przechodzimy rozumnie

doprawdy wielkim był świat
o barwie wschodzącego słońca
podnoszący głowę starego mędrca
po raz kolejny nad wspólnym snem

doprawdy cichym był czas
kiedy unosiliśmy pogodzone myśli
nad ziemią wyżej niż można
to sobie wyobrazić

doprawdy podobał mi się twój
szepcący obietnicę wolności
i dłoń leniwie spoczywająca
na drodze ku spełnieniu

do prawdy nam daleko
kiedy wbrew wszystkim znakom
odwracasz wzrok gubiąc mnie

nierozważnie
do prawdy nam coraz dalej
gdy wybierasz poznanie
cierpliwe i uległe zapominając
że prawda nosi jedno imię
i że sam ją kiedyś nazwałeś

szalony taniec drzew
w rytm wiatru i deszczu
świszcze dudni i wzdycha
świat bez wstydu nagi bandyta
porusza zmysły rozpieszcza
swym dostojnym wierszem
dopuszcza się szaleństwa
ucichł
na chwilę zamilkł
zniknął gdzieś za chmurą rymu
by powstać znowu
ze zdwojona siłą
nieprzeciętności
cały las zatrzęsł się ze zdziwienia
wiatr zapłakał woda wezbrała
i wylała z koryta rzeki wszystkie łzy

skąd schodzi ta muzyka (?)
kto gra ten koncert (?)
jakiś talent płacze (?)
nie szukam odpowiedzi
pewnych zjawisk nie sposób wytłumaczyć
dokąd iść dalej mam
gdy wiatr

pamiętam
 jak cierpliwie tłumaczyłeś mi
 dlaczego ważne chwile
 nie pozwalają się złapać
 jak najstarszy wstyd
 z dumą pedagoga
 uczy pozostałe
 jak wyrosnąć z małych

pamiętam
 jak pisałeś na ścianie
 naszej sypialni wielkie myśli
 by utrwalić to co ważne
 do dziś budzę się
 w ich ramionach
 zapatrzona w czas
 który z nas zadrwił

kiedy ogień pokochał wodę
 cały świat się schował
 pod kopułą strachu
 przed tym że nie zmieści
 swych ust w żadnym słowie
 i już nic nie powie
 już nic nie pojmie
 gdy woda oblała go
 błękitnym spojrzeniem
 jezior i wodospadów

zgasł wbrew swej naturze

w poddaniu
 którego niejeden płomień
 by mu pozazdrościł

mocniej bije puls
 modlitwę wystukuje
 rytmicznie o fioletowe
 ścianki żył rozgoryczonych
 to owe chwile krótkie
 kurczowo wbijające
 paznokcie swe w pamięć
 odruch obronny
 więc wybaczam sobie
 o tobie tą pieśń
 i choć boli
 pozwolę jej biec nurtem
 nut oswojonych dawno
 niech w niewoli nocy
 zasną
 i niech skrócą oddech
 i tak krótki

bo dopóki są moje
 czas na swoim miejscu stoi
 wypatrując jutra

dopiero co wystąpiliśmy z szeregu
 szarego rzędu podpartego
 jednostajnym powtórzeniem
 dopiero co nauczyliśmy się
 iść pewnie
 nie bacząc na konsekwencje
 niedokonanego wyboru
 który niczym tusz
 z domieszką ołowiu chyli powieki
 ciężkim przymusem snu spełnienia
 w czym nam pomógł
 bunt przeciw własnym pragnieniom
 albo zdeformowany rytm oddechów
 tak lekki kiedyś
 i tak oczywisty
 byłeś blisko
 bliski
 i nad wszelki wyraz wzniosły
 odkupicielu winnych zbiorów
 skazanych na potępienie
 bo obce im było: wstąp do szeregu(!)

mówiłam ci już że cię nienawidzę
 za to że wciąż na ciebie czekam
 na ławce w parku
 w styczniu
 za to że się spóźniasz na moje wołanie
 nienawidzę cię
 za sposób w jaki chodzisz
 za swój sposób zbyt piękny
 potem oczy o to proszą
 choć jest ciemno a ty gdzieś śpisz
 na pewno

tak bardzo cię nienawidzę
 dla zabicia czasu
 dla zachowania równowagi

nieboskłon chyli czoła
 szlifując ziemię
 ziemia czerń źrenic
 rozszerza ze zdziwienia
 mocząc spojrzenia w deszczu
 taki prezent
 gwiazdki już nie dał

poznamy się
 jestem astrologiczną
 częścią nieba
 w którą przestałeś wierzyć
 gwiezdny znakiem
 poznamy się nawzajem
 może powiesz mi jakie lubisz filmy
 i w jakim kolorze jest mi do twarzy
 poznamy się
 zanim powiesz kocham
 i położymy się spać
 poznamy się na sobie

dzień mruży powieki
 budzą się ulice
 lampy na chodnikach
 nocne marki
 które potrzebują światła
 stoją pod ich kapturami
 dzień się dzisiaj nie popisał
 zgasł jak wypalony umysł
 jak zapalka stracił głowę
 w mgnieniu oka

wychodzisz z siebie
 gdy z płuc wydieram
 martwe słowa
 kakofonicznie niedoskonałe
 obco brzmiące
 niewspółmierne
 gdy patrzę prosto w oczy
 twoje zamglone tysiącem
 nieszczęść
 które czcisz jak ołtarz
 bo przynoszą odkupienie
 i wytykam palcem
 czas
 rozdarty na części pierwsze
 spuszczasz głowę

dlaczego(?)
 przecież wiem jak długo
 goi się niemoc
 przykleimy plaster miodu
 i będzie słodko
 jak kiedyś

o brzasku
 porą zimową
 w pokoju na drugim piętrze
 w szeregu
 ustawiam swoje lalki
 woskowe
 nieme
 śnieżnobiałe
 moje małe kłamstwa
 moje niedokończone baśnie
 chłodne spojrzenia
 wlepione w ścianę
 martwe paluszki
 jak lubię ich twarze
 bez wyrazu
 bezkarne i takie trwałe
 patrzę i ja
 biała jak one
 na biały świat

lekkko koliduje język którym mogę
 obudzić émy w myślach światła pozbawionych
 z chwilowym tak katedralnych powiek
 rzuconych w przepaść
 tak

tak niepokorne neutrony bez protonów
 tak nic nie znaczący czas bez przestrzeni
 tak nieuchwytny lot pragnień
 i tak niedokonanych

nie poddawaj się modlitwom
 mówił
 wierz w nie po cichu
 słów nie da się cofnąć
 tylko cisza je zmieści

nie poddawaj się moim prośbom
 znasz mnie tak długo
 wiesz przecież jak łatwo
 ulegam modlitwom

utkwiał we mnie swój wzrok
 dziki zwierz
 grozi mi pazurem
 drapie
 warczy
 toczy pianę z ust
 drzwi nie otworzę
 puka pomrukując cicho
 wie jaka świętością
 głos jego
 wśród wszystkich zwierząt
 jest królem
 nie tutaj
 nie otworzę
 odwrócił się i odszedł
 powielając schemat
 ssaczej natury
 lepiej czuje się w grupie
 tylko ja
 niedokończony portret
 wiszę na ścianie
 może dotknie mnie jeszcze
 swym spojrzeniem
 muśnie pędzlem
 przywita
 kolor nadziei

rozbielałam świat ciepłem myśli
 dzieląc ułamki
 na drobiny kurzu
 i tak niepojęte i nieuchwytnie
 zatykając szczeliny
 względnych niewiadomych
 okruczem słowa
 nasycona patrzę
 na ten wzór zdaje się
 nie odkryty jeszcze przez nikogo
 zrozumieć się staram
 kierunek palca wskazującego
 na ławce siedzi para
 starszych ludzi
 kobieta poprawia kapelusz
 on karmi szare ptaki
 wiatr ciągiem
 przyczynowo-skutkowym
 więc scena się powtarza
 niejednokrotnie
 trwam w niej
 po cichu
 dla siebie
 obnażam chwilę niczyją
 spojrzeniem
 aby sny od jawy oddzielić
 siadam obok
 udziału swego szukając
 w rodzajowej scenie
 z tego świata

kobieta traci przytomność
 tylko na chwilę
 i nie chcąc ciebie martwić
 wstaje jakby nigdy nie

jedyne co się może zdarzyć
 w tym międzyczasie
 między wstaniem a niebytem
 to puszczenie oczka na kolanie

tak kobieta może puścić
 kolanem oko

kobieta traci przytomność
 gdy ma na to ochotę
 odsłania wtedy centymetr szyi
 albo trochę więcej
 rozchyła wargi jak ryba
 i wszystko wiadomo
 choć nie wypadło z ust nawet słowo

kobieta gdy traci przytomność
 nie lubi się tłumaczyć
 wtedy nie musi
 nikt nie pyta
 nie może

tylko ona
 ledwo ocierając się o jawę
 milczy że kocha

nieboskłon chyli czoła
szlifując ziemię
ziemia czerń żrenic rozszerza
ze zdziwienia (w.l.)



skąd schodzi ta muzyka(?)
kto gra ten koncert (?) (...)
nie szukam odpowiedzi
pewnych zjawisk nie sposób wytłumaczyć
dokąd iść dalej mam ... gdy wiatr (w.l.)

Treść

łez chwytanie

[jak dobrze jest]	6
[trwam w odrętwieniu]	7
[wracam z podróży]	8
trzy cnoty boskie	9
[i kruszą nazwy prawd]	10
[Bóg dał mi skrzydła]	11
[był piękny wieczór]	12
[spada księżyc]	13
[i stoję tak]	14
[zapadam w sen zimowy]	15
strych	16
[ktoś powiedział]	17
[katastroficzna]	18
[kiedyś łapałeś]	19
[była tak ulotna]	20
[pomarańczowa smuga]	21
[zostań jeszcze chwilę]	22
[po co budzić nowy dzień]	23

uczuć wizerunki

powiek milczenie

[porzucam cienie praojców]	50
tatusiu	51
[dokąd iść dalej]	52
[dzban świeżo ściętych]	53
[zobacz jak pięknie]	54

[kobiet o cyjanowych oczach]	55
[nie poddawaj się modlitwom]	55
[usłałeś mi drogę różami]	56
[witam cię pocałunkiem]	57
[to tylko kolejna podróż]	58
hubrystycznie	60
bez tytułu	61
retrospekcje	62
częstotliwości	64
rozuśmiech	65
a gdyby tak	66
[zbierasz moje łzy]	67
[ostatnia wieczerza]	68
mój drogi to nasze drogi	69
[doprawdy wielkim był świat]	70
[szalony taniec drzew]	71
[pamiętam jak cierpliwie]	72
[kiedy ogień pokochał wodę]	73
[mocniej bije puls]	74
[dopiero co wystąpiliśmy]	75
[mówiłam ci już]	76
[nieboskłon chyli czoła]	76
[poznajmy się]	77
[dzień mruży powieki]	77
[wychodzisz z siebie]	78
[o brzasku]	79
[lekko koliduje język]	80
[nie poddawaj się modlitwom]	80
[utkwiał we mnie wzrok]	81
[rozbielałam świat ciepłem]	82
[kobieta traci przytomność]	83



Weronika Iwaniuk urodziła się 26 grudnia 1981 r. w Kąkolewnicy na Podlasiu. Od 1991 r. mieszka w Szachach (gmina Drelów). Jest absolwentką Liceum Ekonomicznego w Międzyrzeczu Podlaskim oraz Państwowej Szkoły Wyższej w Białej Podlaskiej (kierunek turystyka). Kilka lat spędziła w Wielkiej Brytanii. Po powrocie do kraju podjęła pracę w banku BPH S. A. w Białej Podlaskiej.

Zadebiutowała w 2004 r. tomikiem poetyckim *Strych*, wydanym w ramach serii *Biblioteczka Podlaskiego Pisma Literacko-Artystycznego „Jeszcze Jedna”*. Kolejne jej utwory drukowane były na łamach „Gościńca Białskiego” oraz *Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego*. Zajmuje się również twórczością prozatorską.